

Naszą drugą wyprawę do Indii (w 2016 roku zwiedziliśmy północ kraju, teraz realizujemy marzenie o powrocie) zaczniemy od wyjaśnienia dziwnego słowa w tytule.

*Cilappatikaram* (ewentualnie *Silapathikaram*), czyli “Opowieść o bransoletce” (konkretnie na nogę) to poemat o tragicznej miłości, sztandarowe dzieło literatury tamilskiej. Jako autor podawany jest Ilango Adigal, asceta z książęcego rodu, żyjący w II-III wieku naszej ery, ale dzieło jest prawdopodobnie o kilkaset lat późniejsze. W odróżnieniu od większości tego rodzaju utworów, rzecz dzieje się nie w środowisku księżniczek i książąt, ale wśród zwyczajnych ludzi - w rodzinie zamożnego kupca z miasta Puhar imieniem Kovalan. Kovalan i jego żona Kannaki (ew. Kannagi) są młodzi, urodziwi i bardzo się kochają. Powodzi im się dobrze do czasu, kiedy Kovalan poznaje uwodzicielską kurtyzanę Madhavi i zdradza z nią żonę. Kannaki rozpacza, ale cierpliwie czeka, aż mąż oprzytomnieje, a wtedy przyjmuje go z powrotem. Niestety, złe prowadzenie się Kovalana nadwyreżyło jego wiarygodność jako kupca i nikt w mieście nie chce już z nim robić interesów - a domowy budżet i tak ucierpiał przez drogie prezenty dla ładacznic. Pogodzeni małżonkowie, utraciwszy cały majątek, postanawiają przenieść się do stolicy (Madurai). Aby zdobyć tam pieniądze na nowy początek, Kovalan idzie na targ sprzedać cenną bransoletkę, którą dała mu Kannaki. Zauważa go dworzanin i przekonuje, że klejnot godzien byłby królowej. Jest to pułapka - w pałacu nieuczciwy dworzanin ogłasza, że złapał na gorącym uczynku człowieka, który chciał sprzedać kradzioną bransoletkę (nietrudno zgadnąć, że bransoletkę ukradł ten, który najgłośniej wołał “łapać złodzieja”). Król, nie myśląc wiele, każe zabić podejrzanego na miejscu. Tragiczna wiadomość dociera do czekającej na powrót męża Kannaki. Kobieta udaje się prosto do pałacu, gdzie na dowód niewinności Kovalana pokazuje drugą identyczną bransoletkę, którą miała do pary. Król jest zawstydzony i przeprasza, ale Kannaki rzuca przekleństwo na całe miasto “z wyjątkiem dobrych mężczyzn, uczciwych kobiet, dzieci, kapłanów, starców i krów” - przerażający bowiem jest gniew skrzywdzonej niewinności. Król pada martwy na miejscu, a w mieście wybucha pożar (według jednej z wersji legendy wywołuje go... pierś Kannaki, którą oderwała sobie i rzuciła na ziemię), który trawi je do gołej ziemi. Sama Kannaki wstępuje do nieba jako wcielenie bogini zemsty. Jako awatar

bogini Lakszmi, pod imieniem Pattini jest czczona przez Tamilów do dziś, szczególnie na południu Indii i na Sri Lance - jeśli wierzyć internetowi, podczas pandemii uważana była za skuteczną w ochronie przed covidem.

No to lecimy do Chennai, stolicy stanu Tamil Nadu. Tamilowie to lud z grupy drawidyjskiej, czyli nie indo-europejski. Są przypuszczenia, że byli to pierwotni mieszkańcy Indii, wypchnięci z doliny Indusu na południe przez plemiona aryjskie. Tamilowie wyglądają nieco inaczej niż mieszkańcy północnych Indii, mają też ciemniejszy odcień skóry. Kiedy w 2000 roku byliśmy na Sri Lance (podczas naszej pierwszej podróży do Azji), na zamieszkałą przez Tamilów północ wyspy się nie jeździło, a oni sami w opowieściach przewodników pełnili rolę straszaka ("Tamilskie Tygrysy" itp.). Może pora to zmienić.

Odrobina periodyzacji tutejszej kultury, która - miejmy nadzieję - pomoże nam połapać się w oglądanych zabytkach. Od c. 300 roku p.n.e. do 300 roku n.e. trwa epoka Sangam, będąca okresem rozkwitu tamilskiej poezji (m.in. Cilappatikaram). W tym czasie region podzielony jest na trzy królestwa: Chola w centrum (Tanjore), Chera na zachodzie i Pandya na południu. Około VII wieku n.e. tamilska dynastia Pallawa ustanowiła swoje imperium w Kanchipuram. Zaczynają oni budować pierwsze wolno stojące świątynie. Ich zasługą są zabytki Mahabalipuram. Następny okres należy do dynastii Chola, odrodzonej w (naszym) średniowieczu. Praktykowano wtedy jogę, wytwarzano posągi z brązu, a świątynie zaczęto zdobić wysokimi wieżami bramnymi (gopuram) z paradą rzeźbionych bóstw. Tego typu wejścia stanowią obecnie jedną z najbardziej charakterystycznych cech hinduistycznych świątyń. Pod koniec XIV wieku Tamil Nadu dostało się pod panowanie imperium Vijayanagar ze stolicą w Hampi; dwa wieki później, wydzielili się z niego lokalne królestwa, m.in. w Madurai. Z tego okresu pochodzi wiele pięknych, pełnych szczegółów rzeźb znajdujących się w świątyniach.

Europejczycy dotarli do ziem Tamilów w XVI wieku - byli to Portugalczycy, którzy założyli kolonię w San Thome (Chennai). Niedługo później Holendrzy, Brytyjczycy, Francuzi i Duńczycy zawierali umowy z lokalnymi władcami, zakładali kompanie handlowe i rywalizowali między sobą. Najważniejsza walka o intratną kolonię rozegrała się pomiędzy

Brytyjczykami (zajmującymi Chennai, zwane wówczas Madras) a Francuzami z Pondicherry - w wyniku wojen toczących się między 1744 a 1763 rokiem Brytyjczycy zwyciężyli i ustanowili swoje panowanie nad regionem, które trwało aż do odzyskania przez Indie niepodległości w 1947 roku. W roku 1950 powstał obecny podział administracyjny opierający się na głównych językach używanych w poszczególnych stanach. W 1968 roku tutejszemu regionowi nadano oficjalną nazwę Tamil Nadu.

Chennai (do 1996 roku Madras) to czwarte (po Bombaju, Delhi i Kalkucie) największe miasto Indii, z populacją obliczaną na cokolwiek pomiędzy 7 a 10 milionów mieszkańców. Położenie miasta na wschodnim wybrzeżu nad Zatoką Bengalską gwarantowało strategiczną pozycję do handlu ze znaczną częścią subkontynentu, kusząc europejskich kupców i kolonizatorów. W 1523 roku wieku powstała tutaj enklawa portugalska pod nazwą San Thome, przejęta w 1639 roku przez brytyjską Kompanię Wschodnioindyjską. W XVIII wieku do przepychanek o kolonię włączyli się Francuzi, odepchnięci przez Brytyjczyków do Pondicherry - przyczynił się do tego słynny gubernator Robert Clive, zwany w Wielkiej Brytanii "Clive of India". Dzisiaj miasto - nazywane niekiedy "Detroit Indii" z uwagi na koncentrację przemysłu motoryzacyjnego - podobnie jak amerykańskie Detroit ma opinię miejsca raczej nieciekawego i pozbawionego pierwszoligowych zabytków. Może i są inne, ciekawsze lokalizacje, ale na jeden dzień zwiedzania na pewno coś się znajdzie (jak wszędzie).

Można na przykład pooglądać nieco przyjemnych dla oka budynków z okresu kolonialnego. Na pewno zaliczają się do nich uniwersytet i kilka stanowych ministerstw znajdujących się w pasie nadbrzeżnym. Nieco dalej jest dworzec główny, gmach sądu oraz Ripon Building, siedziba władz miejskich z początku XX wieku - ale tam nie dojechaliśmy z braku czasu. Jak wszystkie miasta Indii Chennai jest zatłoczone - samochodami i pomniejszymi pierdziędami w rodzaju motorowerów, motorynek, skuterów i tuk-tuków - a na dodatek buduje się chyba jakąś linię metra, czego efektem jest zamknięcie części ulic, więc poruszanie się po mieście jest dodatkowo spowolnione i utrudnione.

National Art and Government Museum to główne muzeum miejskie. Budynek pochodzi z czasów brytyjskich, mieści kilka różnych kolekcji: archeologicznych, etnograficznych, a także poświęconych sztuce. Ciekawa jest zwłaszcza galeria brązów zawierająca skarby od okresu dynastii Pallawa (VII w.), przez okres Chola (IX-XI w.) aż do współczesności. Na uwagę zasługują posągi przedstawiające tańczącego Śiwę oraz androgyniczne wizerunki Śiwy i Parwati (Ardhanarishvara). Niestety, muzeum zamknięte - bo akurat piątek (skądinąd ciekawy dzień na zamykanie muzeów - w Europie bywa zwyczajowo poniedziałek, ale, na przykład, warszawskie Muzeum Powstania Warszawskiego i paryski Luwr są zamknięte we wtorki).

Pomnik Kannaki stoi przy plaży Marina Beach w Chennai - drugiej najdłuższej miejskiej plaży na świecie, w towarzystwie innych monumentów (rozpoznaliśmy Gandhiego). Przy sąsiedniej plaży, Elliott Beach, ulokował się targ rybny. W ogóle tutejsze pojęcie plaży różni się dość od europejskiego - nie znajdziemy tutaj leżaków, parasoli i zażywających beztroskiej kąpieli; są za to sieci rybackie, stragany, suszące się ryby, no i wszechobecne śmieci (zapewne Kerala przywróci nam wiarę w indyjskie plaże). Ciekawostką jest lokalna latarnia morska z tarasem widokowym.

Fort St. George to jedna z pierwszych faktorii i kolebka Kompanii Wschodnioindyjskiej na obszarze subkontynentu indyjskiego. Założenie fortu w roku 1639 to oficjalna data "narodzin" miasta, które Brytyjczycy ochrzczili terminem Madras, upraszczając nazwę sąsiedniej wioseczki (Mudhirasapattanam). W roku 1996, na fali mocno opóźnionego antykolonializmu, przepisano historię miasta na nowo i znaleziono jego korzenie w innej wioseczce (Chennapattanam), co miało uzasadnić zmianę nazwy. Lokalny kacyk, który przepisał ziemię Kompanii Wschodnioindyjskiej zrobił to podobno pod warunkiem, że Brytyjczycy uhonorują jakoś jego ojca, niejakiego Chennapę, co Kompania zignorowała, a dopiero rząd Indii "naprawił" po kilkuset latach.

Fort został ukończony w dzień św. Jerzego (stąd jego nazwa) i stał się załazkiem otoczonego fosą i murami tzw. White Town (poza jego granicami rozciągało się Black Town, gdzie - jak można się domyślić -

mieszkali ci mniej biali). Obecnie na terenie fortu rezydują różne instytucje administracyjne, sądowe i wojskowe, znajduje się tam też najwyższy w Indiach (46 metrów) maszt flagowy z drewna tekowego.

W jednym z budynków mieści się muzeum (*Fort Museum*), gromadzące różne artefakty z czasów kolonialnej przeszłości miasta - ale z powodu piątku zamknięte.

Wśród budowli na terenie fortu zwraca uwagę anglikański kościół St. Mary z końca XVII wieku (najstarsza anglikańska świątynia w Indiach). Kościół zapisał się w historii jako miejsce ślubów urzędników Kompanii: Roberta Clive'a (o którym kilka słów poniżej) oraz Elihu Yale'a. Pan Yale szybko awansował w strukturach korporacyjnych i został gubernatorem Madrasu - ale najbardziej znany jest ze swojej działalności dobroczynnej: pewna szkoła z miejscowości New Haven (obecnie amerykański stan Connecticut) zwróciła się do niego o jakiś datek. Yale wysłał im 417 książek, portret króla Jerzego I oraz kilkanaście bel sukna - co było na tyle szczodrym darem, że szkoła przyjęła imię swojego patrona, a dziś jest jednym z lepszych uniwersytetów na świecie.

Robert Clive trafił do fortu St. George jako dziewiętnastolatek (bo jego ojciec dostał robotę jako agent handlowy Kompanii) i początkowo pracował tam jako zwykły urzędnik. Godzina próby nadeszła dwa lata później, gdy Francuzi oblegli i zdobyli fort. Clive uciekł z niewoli i zdecydował się na karierę wojskową, gdzie szybko odznaczył się odwagą i rozsądkiem, zarówno podczas wojny z Francją, jak i późniejszych konfliktów z lokalnymi władcami hinduskimi. Jego sława szybko dotarła do metropolii, dokąd wrócił jako bardzo zamożny 35-latek (bo oprócz talentów wojskowych dysponował również i ekonomicznymi, a przynajmniej umiał się wzbogacić na wojnach). Na Clive'a spadł deszcz różnych zaszczytów (baronostwo i order od króla, honorowy doktorat z Oksfordu, miejsce w parlamencie), ale także pewne niedogodności. Otóż parlament zaczął przyglądać się działalności Kompanii w Indiach, uważając że jest ona winna szeregu zaniedbań i mało etycznych zachowań względem tubylców. Przy okazji wypłynęła sprawa majątku Clive'a - i dróg, jakimi do niego doszedł. Mimo, że parlament wystawił Clive'owi "świadectwo moralności", niesmak pozostał. Clive popełnił

samobójstwo w swoim londyńskim mieszkaniu podcinając sobie żyły scyzorykiem. Nie wiadomo, czy - jak pisał Samuel Johnson - dopadła go świadomość własnych nikczemności, czy raczej był to efekt nadużycia opium (którym próbował leczyć kamice żółciową).

Izba pamięci poświęcona Robertowi Clive'owi (Clive's Corner) mieści się w Domu Admiralicji, gdzie gubernator rezydował w 1753 roku. Dowiedzieliśmy się tam (między innymi), że ulubiony żółw Clive'a przeżył go o ponad dwieście lat i zmarł w początkach naszego wieku w zoo w Kalkucie. Inne, większe muzeum widzieliśmy ładnych parę lat temu w Walii, w zamku Powis należącym pierwotnie do syna gubernatora.

Świadectwem kolonialnej przeszłości jest anglikańska katedra św. Jerzego z początku XIX wieku, położona w eleganckiej okolicy, tuż obok konsulatu USA. Jej biała bryła przypomina nam nieco katedrę św. Andrzeja w Singapurze (i wszystkie inne miejsca, gdzie biały człowiek wyznania anglikańskiego próbował pokazać tubylcom swojego boga w całej jego okazałości).

Santhome Cathedral to katedra katolicka z XVI wieku, zbudowana w dzielnicy Mylapore przez Portugalczyków, przebudowana pod koniec XIX wieku przez Brytyjczyków w stylu neogotyckim (teraz również wygląda jak typowe kolonialne cacko pomalowane na białe). Według tradycji katedra powstała w miejscu pochówku świętego Tomasza apostoła (tego "niewiernego Tomasza"), zabitego włócznią w tej okolicy w roku 72 naszej ery, kiedy szerzył chrześcijaństwo w Indiach. Większość relikwii świętego znajduje się obecnie we Włoszech, ale w Chennai pozostała jedna kosteczka. Jest też włócznia, do wglądu w przykatedralnym muzeum.

Miejsce męczeństwa świętego Tomasza znajduje się na wzgórzu (The Mount - wszystkiego 72 metry nad poziom morza) w pobliżu dzisiejszego lotniska. Zdobí je kościół wzniesiony oryginalnie przez Portugalczyków - oraz (podobnie jak placyk przed katedrą) pomnik Jana Pawła II, który wybrał się tutaj w latach 80. XX wieku. Przy ołtarzu wisi (jak informuje odpowiednia tabliczka) "Portret Maryi z Jezusem namalowany przez św. Łukasza" a przywieziony osobiście przez Tomasza - na oko średniej jakości europejska robótka, być może faktycznie z XVI-XVII wieku. Swoją

drogą, spośród apostołów największą naszą sympatię budzi właśnie Tomasz - poprosił o konkretne dowody i uwierzył dopiero, kiedy je otrzymał. Solidne i godne pochwały.

Dla równowagi kulturowej zaglądamy także do Kapaleeshwarar Temple w dzielnicy Mylapore. Lokalna legenda twierdzi, że w ramach kary za jakieś przewinienia (bodaj nie słuchała, co się do niej mówi) bóg Śiwa zamienił swoją żonę Parwati w samicę pawia, a ta żeby odzyskać ludzką postać musiała pokutować w tym właśnie miejscu. Przyznam się, że ze wszystkich hinduskich bóstw Śiwa jest moim (D.) zdecydowanym faworytem - ale Parwati nie lubię (uosabia moim zdaniem wszystkie stereotypy sprowadzające kobiecość do seksapilu i macierzyństwa) i nie pojmuję, jak tutejsza mitologia mogła w ogóle wpaść na pomysł, żeby zrobić z nich parę. To tak, jakby pożenić Hadesa z Afrodytą - niby można, tylko po co?

Świątynia pochodzi oryginalnie z VII wieku, ale była wielokrotnie przebudowywana. Na teren sanktuarium prowadzą dwie bramy (gopuram) zdobione wizerunkami bóstw. Na dziedzińcu znajduje się drzewo (ponoć najstarsze w Chennai), gdzie Parwati odbywała swoją pokutę - według legendy to drzewo ma moc spełniania życzeń pielgrzymów (ale na miejscu dowiedzieliśmy się, że muszą to być życzenia posiadania dzieci, więc nie ryzykowaliśmy).

Przy okazji, parę słów o hinduizmie - trzeciej pod względem ilości wyznawców religii świata (ok. miliard osób, chociaż w ogromnej większości mieszkających w Indiach i Nepalu). Hinduizm uchodzi niekiedy za najstarszą wciąż aktywnie wyznawaną na świecie. Tak jest, ale nie do końca. Archaiczne święte teksty, czyli Wedy (zapisane około 1500 roku p.n.e., ale istniejące w formie ustnej znacznie dłużej) najpopularniejszych obecnie bogów nieledwie wzmiankują (jak Wisznu), albo nie wspominają o nich w ogóle (jak o Śiwie, chociaż są hipotezy, że pojawia się pod imieniem Rudra). Inni, wówczas dominujący bogowie - tacy jak Indra albo bóg ognia Agni - dzisiaj zeszli na dużo dalszy plan. Generalizując, w tej chwili hinduizm istnieje w czterech głównych "denominacjach": wisznuizm (ok. 75%), wliczając w to kultury Ramy i Kryszny jako awatarów Wisznu; śiwaizm (jakieś 25%) z dodatkiem bardzo

rozpowszechnionego kultu jego syna Ganeśi; oraz mocno mniejszościowe śaktyzm - czczący wielką boginię (Śakti), identyfikowaną często z żoną Śiwy, Parwati, albo traktowaną jako synkretyczne bóstwo żeńskie; i smartyzm - uznający dość arbitralnie wydzielony mini-panteon, z którego każdy wierny może sobie wybrać kogo chce. Najbardziej "zaawansowani" twierdzą, że w zasadzie są monoteistami, ponieważ wszyscy bogowie są tylko emanacjami jedyne bóstwa zwanego Brahmanem (nie mylić z bogiem-stwórcą Brah്മą). Istnieje też wiele lokalnych wariantów wierzeń oraz grup religijnych skupionych wokół nauczyciela (guru) - tego rodzaju neo-hinduistyczne kulty zyskały dużą popularność w Europie w drugiej połowie XX wieku, na fali ruchu hippisów, zainteresowania jogą i duchowymi poszukiwaniami Beatlesów.

Założenia filozoficzne hinduizmu są na tyle ogólne, że pasują do rozmaitych odłamów tej religii. Po pierwsze wierni wierzą w reinkarnację, czyli wędrówkę nieśmiertelnej duszy przez kolejne ciała (samsara). Los żywych istot, rozpisany na wiele kolejnych wcieleń, jest wynikiem karmy, czyli prawa akcji i reakcji: dobre czyny dają "plusy dodatnie", złe "plusy ujemne", po zsumowaniu każdy dostaje w następnym rozdaniu to, na co zasłużył. Podstawowe zasady moralne, tak jak i inne prawa rządzące światem noszą nazwę dharmy. Celem "gry" jest zdobycie poziomu doświadczenia umożliwiającego moksę, czyli wyjście poza krąg samsary, zaprzestanie kolejnych wcieleń i zjednoczenie z Absolutem (odpowiednik buddyjskiej Nirwany).

Równie - a może nawet bardziej - popularne jak Wedy są hinduskie eposy, zwłaszcza Mahabharata i Ramajana. Mahabharata to, szukając analogii z Zachodem, hinduska Iliada (tyle, że dziesięć razy dłuższa). Główną osią opowieści są przygody pięciu braci Pandawów - ich pochodzenie (skomplikowane, każdy z braci jest synem innego boga), życie rodzinne (np. wspólna dla całej piątki żona Draupadi), przygody (np. długie zesłanie, po tym jak najstarszy brat przegrał królestwo w kości), ale przede wszystkim wielka wojna, którą stoczyli o tron z wojskami swojego wuja i kuzynów. Każdy z braci uosabia różne przymioty: Judhiszthira (ideał króla), Bhima (ideał siłacza - coś jak Herakles), Ardżuna (ideał wojownika) oraz bliźniacy Nakula i Sahadewa (mędracy potrafiący leczyć choroby). Ważną częścią eposu są przygotowania do wojny, w które



włącza się bóg Kryszna (awatar Wisznu, tutaj również kuzyn Pandawów - postać bardzo, powiedzmy to sobie, dionizyjska); jego rozmowa z Ardżuną o istocie moralności (Bhagavadgita) to być może najbardziej znana część Mahabharaty.

Bardzo piękne, moim zdaniem, jest zakończenie całej tej historii. Po wielu latach, Judhiszthira, ostatni z rodu, udaje się na pielgrzymkę. W którymś momencie, na bezludziu, przyłącza się do niego pies - i tak idą we dwójkę. W końcu dochodzą do miejsca, skąd widać już zaświaty. W tym momencie odzywa się boski głos: "Zostaw psa i wejdź". Król absolutnie odmawia pozostawienia psa, nawet pod groźbą, że nie zostanie wpuszczony do nieba. Kiedy już zbiera się do odejścia, okazuje się, że to była ostatnia próba i może (razem z psem, który i tak był wcieleniem bóstwa) wejść do środka i spotkać się ze swoją rodziną.

Ramajana to legenda o kolejnym wcieleniu Wisznu, czyli Ramie. Najkrócej rzecz ujmując, Rama to człowiek idealny: idealny syn, idealny król itp. Czego się nie dotknie, osiąga w tym mistrzostwo; pełen szacunku dla ojca (nawet jeśli ten niesłusznie skaże go na wygnanie); uwielbiany przez swoją żonę Sitę. No taki Apollo po prostu. I temu ideałowi jakiś "złol" porywa żonę i uprowadza ją aż na Sri Lankę. Rama przedsięwzięcie ekspedycję ratunkową, zyskuje przyjaźń i pomoc króla małp, Hanumana (ten z kolei jest awatarem Śiwy), razem pokonują "złola" i odbijają Sitę. No i pięknie. Tylko potem jest ciąg dalszy "drobnym druczkiem" o wygnaniu Sity, bo ktoś rzucił na nią podejrzenie, że być może w niewoli została zgwałcona. Sita posłusznie idzie do lasu, tam rodzi Ramie bliźniaków i wychowuje ich w nabożeństwie do ojca (bo cóż innego można zrobić będąc żoną boga). Cała ta historia nie przeszkadza Ramie cieszyć się kultem do dziś, no może z wyjątkiem paru zachodnich reinterpretacji, takich jak niesamowity film animowany pt. *Sita Sings the Blues* (dostępny w całości n.p. tutaj). Poza tym herosi z obu eposów mają się świetnie i wciąż pozostają żywym źródłem kulturowych odniesień, tak jak przykładowo w całkiem świeżym (zasłużenie Oscarowym) filmie *RRR* (2022), którego dwaj główni bohaterowie to de facto awatary Ramy i Bhimy, walczący z Imperium Brytyjskim.